

# **Informator Krajoznawczy**

Nr 10/38 (październik) 2012



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze  
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra  
Komisja Krajoznawcza**

---



## **Wprowadzenie**

Październik był tak obfity w imprezy turystyczne, że ich opisy nie zmieszczą się w tym numerze Informatora Krajoznawczego. Dlatego relacje z dwóch wydarzeń zamieszczę w numerze listopadowym. Teraz, w relacji z jubileuszem Franciszka Dymczyńskiego pokażę, że działacze turystyczni potrafią pamiętać o swoich kolegach i chcą o nich pamiętać. Bo sam fakt zorganizowania takiej uroczystości nie jest niczym nadzwyczajnym ale fakt, iż na tą uroczystość zjechali znajomi Franciszka z całego Dolnego Śląska jest już czymś niezwykłym. Poświęcili oni bowiem swój wolny czas by dotrzeć do Kłodzka. Niektórzy zadbali o wyróżnienia, które ze względu na procedury ich przyznawania, były załatwiane nawet pół roku wcześniej. I właśnie takie podejście, takie działania, świadczą o fakcie, że wszyscy pamiętamy o koledze Franciszku i szanujemy zarówno jego, jak i jego dokonania dla turystyki.

Dwie kolejne relacje jakie prezentuję powinny zachęcić wszystkich do wyruszenia w Karkonosze po czeskiej stronie. Do tej pory niedostępne. Od czasu zniesienia granic znalazły się w zasięgu naszych możliwości jeśli chodzi o dotarcie tam i z powrotem jeszcze tego samego dnia. A ponieważ znajduje się tam wiele ciekawych miejsc naprawdę warto je odwiedzić.

Wygląda na to, iż moje wcześniejsze opisy oraz dzielenie się wrażeniami z poprzedniej wycieczki zorganizowanej szlakiem Via Regia przyniosły skutki. Na kolejną wycieczkę będącą zarazem ostatnią w tym roku przybyło tylu chętnych, że w autobusie był komplet. To bardzo dobrze, gdyż uczestniczący

w tej wycieczce mieli okazję nie tylko poznać nowe zabytki ale mogli, dzięki uczestnictwu grup z obu krajów, poznać turystów niemieckich. Z niektórymi nawet nawiązać kontakty na przyszłość.

W podobnej atmosferze przebiegał Zlot Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK zorganizowany w Karpaczu. Tutaj przyjechali działacze turystyczni z całej Polski. Było sporo młodzieży. Cieszymy się zatem, że organizację tej imprezy Zarząd Główny powierzył właśnie naszemu Oddziałowi PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze.

Zapraszam do lektury.

**Krzysztof Tęcza**

Spis treści:

Str. 1 Wstęp

Str. 2 Jubileusz Franciszka Dymczyńskiego

Str. 4 Wokół kozich Grzbietów

Str. 8 Via Regia – przejście z Kamenz do Königsbrück

Str. 16 Spacer po czeskiej stronie Karkonoszy

Str. 21 XIII Zlot Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK w Karpaczu

## Jubileusz Franciszka Dymczyńskiego

Muszę powiedzieć, że każdy człowiek stąpający po tym świecie wnosi coś w życie, nie tylko swoje, swojej rodziny ale także w życie sąsiadów, znajomych, a czasami zupełnie obcych sobie ludzi. Pozostawia w ich życiu jakiś ślad, mniejszy czy większy. Najważniejsze jest jednak by to co przekazuje było pozytywne, dobre, może nawet szlachetne. Ludzie, którzy wnoszą coś dobrego w życie innych są dobrzy, uczynni i patrzący pozytywnie na otaczający ich świat. Dzięki ich postawie świat ten prezentuje się lepiej. To ich społeczna praca, praca dla innych, praca bez nastawienia na zysk, powoduje, że wokół nich zbierają się grupki podobnych osób. Grupki te są nie tylko godnym wzorem do naśladowania ale także oddziaływają na młodsze pokolenia. Młodzi przebywając z takimi ludźmi, w tym wypadku podczas imprez turystycznych, uczą się życia, uczą się szacunku dla przyrody, kultywują historię swojego kraju, dbają o otaczające ich zabytki. Dzięki przebywaniu z takimi ludźmi popełniają oni o wiele mniej błędów w życiu, a tym samym szybciej stają się samodzielni.



**Franciszek Dymczyński i Anna Makowska**

Zapyta ktoś a gdzie można spotkać takich szlachetnych ludzi pomagających innym. Ano właśnie. Wbrew obiegowej opinii, że takich osób nie ma, okazuje się że jest ich wiele. My członkowie PTTK spotykamy ich na swojej drodze całkiem sporo. Prawie w każdej jednostce terenowej znajdzie się taki. Trzeba tylko dobrze się rozejrzeć wokół siebie.

Nic więc dziwnego, że 4 października 2012 roku, kilkadziesiąt osób postanowiło przybyć do Muzeum w Kłodzku, gdzie zorganizowano spotkanie z Franciszkiem Dymczyńskim, który właśnie skończył 90. lat. Kilka dni wcześniej odprawiono dla Pana Franciszka uroczystą mszę świętą w kościele Najświętszej Maryi Panny, podczas której proszono o dalsze Boże błogosławieństwo. Dzisiaj Franciszek Dymczyński odbiera od nas wiele prezentów, dyplomów, kwiatów, ale najważniejsze są miłe słowa skierowane do niego. I nie ma znaczenia czy wypowiadają je oficjele czy zwykli znajomi. Wszyscy tu obecni są zgodni co do roli jaką odegrał Pan Franciszek w czasie gdy poświęcał swój wolny czas dla innych. Wykazał on się wielką życzliwością w stosunku do braci turystycznej. Zresztą nie tylko. Bardzo mile wspólnie spędzone lata wspominają jego koledzy z pracy. Nikt z tu przybyłych, nawet gdyby chciał, nie potrafiłby znaleźć w zakamarkach swojej pamięci, jakiś negatywnych uwag. Pan Franciszek dał się poznać jako czynny działacz. Dzięki zdobyciu uprawnień Przodownika Turystyki Pieszej, miał możliwość prowadzenia licznych grup turystów pokazując im piękno naszej Ojczyzny. Mógł też, i robił to, pomagać innym przy zdobywaniu odznak turystycznych. Czynił to jako członek zespołu weryfikacyjnego. Na przestrzeni kilkadziesiątu lat brał udział w tworzeniu wielu struktur w naszym Towarzystwie. Brał też wielokrotnie udział w różnych imprezach turystycznych jako zwykły uczestnik. Uważał bowiem, że sam też musi poznawać nowe tereny i uczyć się od innych. Spotykając takich samych zapaleńców jak on, sam przystawał do nich. Tak było choćby z Bractwem Krzyżowym założonym przez Andrzeja Schera w Świdnicy.



***Franciszek Dymczyński wśród przyjaciół***

Podczas wspólnych wypraw Pan Franciszek dał się poznać jako człowiek, z którym można porozmawiać, zapytać się o coś, czy nawet posprzeczać gdy sytuacja tego wymagała.

Dzisiaj wiele ciepłych słów dostojny jubilat usłyszał od prof. Krzysztofa Mazurskiego, który podjął inicjatywę nadania mu stopnia Załужnego Instruktora Krajoznawstwa. I co nie jest bez znaczenia, podczas głosowania nad jego kandydaturą nikt nie powiedział nie. Dlatego też przybyły tu Krzysztof Tęcza, w imieniu Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, wręczył jubilatowi mianowanie. A ponieważ Zasłużonych Instruktorów Krajoznawstwa jest naprawdę niewielu, jest to zarówno wielkie wyróżnienie jak i usankcjonowanie

faktu, że Franciszek Dymczyński, poprzez swoje dotychczasowe dokonania, jest osobą zasłużoną. I nic tego nie zmienia.



**Franciszek Dymczyński w towarzystwie dwóch Krzysztofów: Mazurskiego i Tęczy**

A że wszyscy tu obecni poważają Pana Franciszka i szanują Go, czuć było z wypowiedzi kolejnych mówców. Dalsze życzenia wielu lat w zdrowiu składali najbliżsi współpracownicy, przedstawiciele władz Oddziału PTTK, koleżanki i koledzy. Był także dyplom od piechurów dolnośląskich. Była odznaka 50-lat w PTTK. Mało kto może się taką pochwalić. O jubileacie nie zapomnieli władze miasta. Nadano mu także tytuł Honorowego Ambasadora Turystyki Hrabstwa Kłodzkiego. Było wiele prezentów ale też ten jeden, którego nie mogło zabraknąć, czyli wielki tort z symboliczną cyfrą 90. Był szampan, toasty, wielokrotnie śpiewano sto lat. Ale chyba najmiłym prezentem były kwiaty od, jak to powiedziała jedna z pań, zwykłych turystów.

Myślę, że nie będzie nietaktem gdy jako podsumowanie tej pięknej uroczystości zacytuję słowa przekazane Panu Franciszkowi przez jego kolegów. Oto one:

"Życie przynosi wiele spotkań, przyjaźni, ocen.  
Nam udało się spotkać na swej drodze  
Kogoś kto wywiera tak bardzo pozytywne  
Uczucia, że daje wiarę w człowieka i nakreśla  
Wzory postępowania".

## **Wokół Kozich Grzbietów**

Gdy dano mi znać, że w sobotę 6 października 2012 roku odbędzie się w schronisku Odrodzenie spotkanie, podczas którego przedyskutowane zostaną sprawy związane z turystyką w środkowej części Karkonoszy, pomyślałem, iż dobrze byłoby dotrzeć tam i posłuchać o co chodzi. Tym bardziej, że oprócz proponowanych, a znanych mi już tematów, miał wystąpić człowiek z drugiej strony gór i miał on opowiedzieć o tamtych terenach, o przyrodzie po tamtej stronie granicy. Warto zatem było poświęcić się i przejść tych kilka kilometrów.

Niestety w ostatnim momencie zadzwoniono do mnie, że dotarły już zamówione przeze mnie drzwi do domu. Nie miałem zatem wyboru, musiałem zrezygnować z udziału w tej jakże ciekawej dyskusji. Postanowiłem jednak dołączyć do grupy, która miała nazajutrz wyruszyć na zaplanowaną wycieczkę do Lučni boudy. Wstałem zatem w niedzielę o piątej rano i po dotarciu do Jagniątkowa wyruszyłem czarnym szlakiem pod górę. Było bardzo ciemno. Właściwie to panowała jeszcze noc. Dlatego idąc przyświecałem sobie latarką. Wkrótce zaczęło się przejaśniać. Pomyślałem, że to już świta. Jednak szum jaki od jakiegoś czasu słyszałem wzmógł się nagle. Okazało się, że nie jest to szum wiatru w drzewach tylko odgłosy coraz bardziej nasilającego się deszczu. Oczywiście gałęzie drzew

chroniły mnie przed zbytnim zmoknięciem, jednak znowu zapanowały ciemności. Ścieżka robiła się coraz bardziej śliska. Trzeba było uważać stając na kamieniach by nie ześlizgnąć się z nich. Musiałem wyraźnie zwolnić kroku, chociaż i tak nie szedłem zbyt szybko. Droga do Petrovej boudy jest bowiem jedną z bardziej wymagających tras, jeśli chodzi o naszą stronę Karkonoszy. Wędrówka tędy potrafi zmęczyć nawet największych twardzieli. W pewnym momencie zaczęło robić się jakoś gęsto. Okazało się, iż z góry zaczęła opadać mgła. A więc koniec marzeń o pięknej pogodzie. Trudno, w górach tak bywa. Nic na to nie poradzimy. Trzeba się z tym pogodzić. Idę więc dalej. Niebawem mogę wyłączyć latarkę. Jest jeszcze szaro ale można już iść bez dodatkowego oświetlenia. Gdy wydaje mi się, że docieram już do miejsca pierwszego odpoczynku okazuje się to tylko złudzeniem. Muszę podejść jeszcze dobrych kilkaset metrów. Mimo, iż rozsądek nakazywał zatrzymać się na chwilę dochodzę, nie robiąc przerwy, do wiaty na Zawracani. Nareszcie mogę schronić się do środka i odpocząć. Jak to fajnie, że ktoś kazał postawić tu tę wiatę. Szkoda tylko, że umieszczone w niej ławeczki są takie niskie. Gdy odpocząłem ruszam dalej. Muszę przecież dotrzeć do schroniska zanim znajdujący się tam wyjdą na trasę. A nie wiem niestety, na którą godzinę zaplanowali oni wymarsz.

Deszcz pada cały czas. Muszę to jakoś przeżyć. Pora by pójść dalej. Trzeba się ruszać bo poczułem jak chłód idzie mi po plecach. Odrobina wysiłku pozwoli mi ponownie się rozgrzać. Jest już siódma. O! jak ciężko jest wstać z ławeczki. Faktycznie mogłaby być ona trochę wyższa. Zapinam kurtkę po samą szyję, łapki chowam do kieszeni i już jest lepiej. W czasie gdy odpoczywałem w wiacie niebo rozjaśniło się na całego. Nie tracąc czasu ruszam pod górę. Mijam tablicę z napisem Bażynowe Skały. Przekroczyłem już tysiąc metrów n.p.m. Uświadamiam sobie, że od Jagniątkowa pokonałem ponad trzysta metrów różnicy wysokości. Nieźle. Czeka mnie jednak jeszcze drugie tyle. Wcześniej słyszałem jakiś potężny ryk, pewnie jelenia. Teraz słyszę z boku jakieś dziwne odgłosy. Staję i wsłuchuję się w nie. Nagle mnie olśniło. Przecież to cietrzewie. To tutaj mają one swoje tereny.



**Widok w stronę Przełęczy Karkonoskiej od Petrovej boudy**

Dostrzegam już spalone schronisko. To Petrova bouda. Staję na asfalcie! Po lewej dostrzegam wylaniające się z mgieł Odrodzenie. Aby dotrzeć do niego muszę najpierw zejść w dół i ponownie wdrapać się pod górkę. Widzę tutaj znaczek informujący, że jest to droga przystosowana dla osób niepełnosprawnych. Faktycznie, po położonym tutaj asfaltowym chodniczku można bez problemu poruszać się na wózku inwalidzkim. Ponieważ na razie jestem jedynym turystą na szlaku przyśpieszam kroku. Mijam przełęcz o nazwie Dołek i już docieram na Przełęcz Karkonoskiej. Tutaj pełne zaskoczenie. Widzę przed schroniskiem, a właściwie hotelem (cztery gwiazdki) Špindlerova bouda, olbrzymi utwardzony plac parkingowy. Mało tego, znajduje się tu przystanek autobusowy. Można zatem dotrzeć do tego miejsca bez wysiłku. Szkoda tylko, że z naszej strony nie ma takich udogodnień.

Ale oto jestem już przy Odrodzeniu. W środku tłum, aby napić się czegoś ciepłego trzeba stanąć w kolejce. Po chwili dostrzegam znajomych i już wiem, że się spóźniłem. Okazało się nawet, że musimy poczekać jeszcze około godzinki tak by przybyli kolejni turyści. Mam zatem sporo czasu by dowiedzieć się o czym wczoraj dyskutowano. Okazuje się, iż wszyscy są zachwyceni spotkaniem z panem KRNApu, który opowiedział wiele ciekawych spraw dotyczących zarówno Karkonoszy, jak i sposobów ochrony występującej tu roślinności. Aż żałuję, że nie mogłem być.

Dochodzi jednak pora by wyruszyć na trasę. Dotarli już ostatni uczestnicy naszej wyprawy. Wychodzimy z budynku a tu niespodzianka. Sypie śnieg. I to jaki. Płatki są tak wielkie, że wkrótce

jesteśmy prawie jak białe bałwanki. Jest jednak jeden plus takiej pogody. Ociepliło się. Wkrótce jednak śnieg miesza się z deszczem oraz zmrożonymi kulkami sypiącymi z nieba. Nie zraża nas to jednak. Idziemy żółtym szlakiem do schroniska U Bilého Labe. Wcześniej jednak dochodzimy do miejsca zwanego Čertův dul. Płyne tu potok o podobnej nazwie. Jest to Čertova strouha. To właśnie z tego miejsca można wyruszyć ścieżką dydaktyczną prowadzącą w głąb dolinki. Znajduje się tu mały drewniany domek, w którym w okresie letnim urzędują osoby oprowadzające tędy. Pokazują one ten ładny zakątek głównie dzieciom.

Wchodzimy do schroniska U Bilého Labe mając nadzieje na coś ciepłego. Na posiłek jest jeszcze za wcześnie jednak ciepły napój to jest to czego nam potrzeba. Prosimy kelnerkę by podała nam ciepłe piwo. Po chwili stawia ona przed nami kufle ale są one zimne. Okazuje się, że pani „przygrała z nami w kulki” – powiedziała, że oczywiście podają tu ciepłe piwo a tak naprawdę nie podają. Trudno, trochę zniechęceni takim obrotem sprawy płacimy i ruszamy dalej idąc wzdłuż Białej Łaby. Widzimy tutaj wiele leżących białych drzew. Ponieważ weszliśmy w I strefę ochronną drzewa, które przewrócą się są korowane i tak pozostawiane. Nie wywozi ich się stąd. Wśród traw dostrzegamy kwitnące skrzypy. Mamy szczęście, jest to rzadki widok.



***Kaskady na Białej Łabie***

Idziemy teraz szlakiem niebieskim. Docieramy do miejsca, w którym 02.09.1994 roku zeszła wielka lawina ziemna. Widać, że nikt będący w tym rejonie nie miałby żadnych szans na przeżycie takiego doświadczenia. Na potoku wciąż spotykamy kaskady. Powstały one dzięki wybudowaniu kamiennych murków w poprzek strumienia. Oczywiście nie wszystkie. Część z nich jest naturalna.

Droga wiedzie nas zboczem nazywanym Kozi bety. Jest to chyba najbardziej ekstremalne przejście w tej części Karkonoszy. Z lewej widzimy stromizną opadającą do strumienia a z prawej prawie pionową ścianę sięgającą po same niebo. Co jakiś czas spotykamy pięknie poukładane kamienie wyglądające jak półki. Nad nami przewalają się schodzące z grzbietu obłoki. Raz mgła zasłania zbocze, raz widzimy je bardzo dobrze. Nie poprawia to jednak naszych nastrojów. Cała droga została wyłożona skałami, jednak dzisiaj są one śliskie co zmusza nas do ostrożności. Prowadzący, by nas pocieszyć, stwierdził radośnie, że do schroniska mamy już niedaleko. Okazało się to jednak tylko żartem. Bo schroniska jak nie było widać tak nie widać go dalej. Za to idąc pod górę dróżką prowadzącą tak jakby obchodziła ona zbocze dookoła wciąż widzieliśmy tylko, że ginie ona za zakrętem. Wszystko było przysypane świeżym śniegiem. Dobrze, że deszcz przestała już padać. Mgła jednak była wciąż duża. Wystarczy powiedzieć, że idąc gęsiego tak się od siebie oddaliliśmy, iż

mieliśmy wrażenie, że każdy z nas idzie samotnie. Dopiero na krzyżówce szlaków ponownie byliśmy razem. I właśnie wtedy we mgle dostrzegliśmy jakiś wielki ciemny obiekt. Gdy podeszliśmy bliżej przeczytaliśmy napis. Była to Lučni bouda. Faktycznie jest to wielkie schronisko. Byliśmy już tak zziębnięci, że nic nie mogło nas odwieść od wejścia do środka. W budynku od razu uderzyło nas ciepło jakie tam panowało. Mogliśmy rozebrać się nieco i gdy tylko zjawił się kelner zamówiliśmy coś smacznego. Aby było ciekawie praktycznie każdy dostał inną strawę. Nawet knedliki były różne. Oczywiście skosztowaliśmy serwowanego tu piwa ważonego w miejscowym browarze. Trzeba bowiem wiedzieć, że w schronisku tym działa mini browar. Warzone tu piwo Parohac można skosztować jako tradycyjne jasne, ciemne lub półciemne. Mało tego, można tutaj skorzystać z kąpeli piwnych czy wziąć udział w kursie warzenia tego trunku. My mieliśmy okazję zobaczyć aparaturę browaru i porozmawiać z panem Pawłem Błażem, który umożliwił nam wstęp do niego.

Same schronisko, funkcjonujące już od trzystu lat, słynie z pięknego widoku na Snieżkę. Niestety dzisiaj nie doświadczyliśmy tego. Ale kiedyś przebywający tu turyści byli budzeni o stosownej porze specjalnym dzwonem tak by zdążyli wstać przed wschodem słońca.

Zadowoleni z pobytu w schronisku wyszliśmy drugim wyjściem i wtedy okazało się, że temperatura spadła poniżej zera. Mieliśmy więc prawdziwą zimę. Muszę zdradzić, że wyszliśmy drugim wyjściem tak by obejrzeć znajdujący się tam słupek graniczny, na którym umieszczono nazwiska właścicieli okolicznych ziem.

Dla odmiany ruszyliśmy teraz szlakiem czerwonym w stronę szczytu Krakonoš. Widok jaki roztacza się stamtąd, można powiedzieć, zapiera dech w piersiach. I to mimo kiepskiej pogody. Przeganiane co chwile chmury i wychodzące słońko pozwalało nam na zachwycanie się Karkonoszami. Po drodze trafiliśmy jeszcze na stary bunkier. Obiektów takich zachowało się tu więcej. Napotkaliśmy także kopczyki układane z kamieni. Ponoć czyni się to po to by w razie powodzi porywane kamienie wyhamowywały wodę i ograniczały jej niszczyielskie działania. Nie wiem jednak czy jest to właściwe wytłumaczenie ich układania.



***Obora - miejsce dokarmiania leśnych zwierząt w okresie zimowym***

Czeka nas teraz długie, bardzo strome zejście do Spindlerowego Młyna. Gdy tylko zeszliśmy poniżej grani zaraz zrobiło się cieplej i zaczęło przyświecać słońeczko. Znowu okazało się, że wysoka góra skutecznie blokuje chmury i po obu jej stronach mogą być zupełnie inne warunki atmosferyczne. Nas oczywiście, taki obrót sprawy ucieszył, jednak droga stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Nie dość, że pod nami widzimy przepaść to ułożone tu chodniczki z desek czy stalowe schodki są

niesamowicie śliskie. Trzeba iść naprawdę bardzo powoli, bo gdy zachwiejemy się to praktycznie nie będzie co zbierać. Oczywiście mamy świadomość, że brakuje nam czasu na dotarcie na autobus, jednak rozsądek bierze górę nad lekkomyślnością. Idziemy powolutku, co chwile robiąc zdjęcia. Widoki jakie są naszym udziałem całkowicie rekompensują nam wszystkie niedogodności. Wkrótce dochodzimy do dziwnego obejścia. Okazuje się, iż postawiony tu wysoki płot wykonany z drewnianych bali, na którym zawieszono wielkie koryta to tzw. Obora. Czesi wymyślili taki sprytny zabieg by zimą zwierzęta leśne nie schodziły do miasta w poszukiwaniu jedzenia. Gdy sypnie śniegiem po prostu zamyka się bramy a leśnicy dostarczają do tego miejsca jedzenie. Oczywiście robią to systematycznie. Nie ma zatem sytuacji, że zwierzęta przyzwyczajone do takiej formy dokarmiania, nie znajdą tam odpowiedniej dla siebie karmy. Proste a jak skuteczne.

Po długim marszu docieramy wreszcie do miejscowości Špindlerův Mlýn. Niestety nie mamy czasu na zwiedzanie, jedynie rozglądamy się wokoło. Mijamy kościół św. Piotra. Przy jednym z domostw wystawiono ciekawą starą barć. Ale oto jest przystanek. Jesteśmy jednak zbyt późno. Autobus odjechał już dawno temu. Będzie jednak jeszcze jeden. Musimy tylko poczekać. Obok widzimy taksówkę, pytamy zatem czy zawiezie nas na górę w cenie biletów autobusowych. Kierowca odnawia, jednak po chwili sam podchodzi i proponuje kurs. Wsiadamy i jedziemy. Po kilkunastu minutach jesteśmy na Przełęczy Karkonoskiej. Jest już jednak tak późno, że wyraźnie czuć jak idzie ochłodzenie. Nie ma co tracić czasu, żegnam się z wszystkimi i ruszam w stronę Hutniczego Grzbietu. Reszta udaje się do Odrodzenia, gdzie pozostawili swój ekwipunek. Później zjedzą oni na dół. Ja szybciotko docieram do Zawracalni i skręcam w nikłą ścieżkę, którą dochodzę do chatki AKT. Gdy ją ujrzałem wydało mi się tu jakoś dziwnie. Niesamowity spokój i cisza. Przecież mamy niedzielę, a więc powinno tu być sporo ludzi. Zdejmuję buty i zostawiam je na półce. Wchodzę do środka i od razu czuję specyficzny zapach. Jest ciepłutko. Wita mnie chatar i proponuje kubek gorącej herbaty. Są jeszcze dwie osoby i kot. Okazuje się, że wczoraj było tu spotkanie Towarzystwa Bażynowego. Teraz wiem dlaczego rano stało w Jagniątkowie tyle samochodów z obcą rejestracją. Chatka jest już posprzątana. Nie od dzisiaj wiadomo, że obecny opiekun chatki to maniak porządków. U niego musi wszystko błyszczeć i pachnieć. Widać nawet jakieś kwiatki. Znaczący to, że traktuje on to miejsce jak swój dom. I słusznie, bo obecnie jest to przecież jego dom. Ale dzięki takiemu podejściu wszyscy przychodzący tu turyści także czują wyjątkowość tego miejsca.

Patrząc w okno widzę jak zaczyna się zmierzchać. Nie ma co przedłużać mojego tu pobytu. Żegnam się i idę na dół. Udaje mi się dojść do leśnego duktu i wtedy nastają całkowite ciemności. Szukam latarki. Jestem już tak zmęczony, że muszę patrzeć pod nogi, by nie zdarzył się jakiś wypadek. Po chwili słyszę narastający szum. Dochodzę do mostku na Sopocie i już jestem na czarnym szlaku. Teraz pozostało mi już tylko spokojnie zejść na dół. Gdy tak sobie idę nagle dobiega do mnie z ciemnego lasu jakieś straszne ni to mruczenie ni to ryk. Po chwili sytuacja powtarza się. Aż mi włosy się zjeżyły. Nie wiem co to może być. Na wszelki wypadek przyspieszam kroku by choć trochę oddalić się od tego miejsca.

Uf! Jestem już przy granicy Parku. Widzę światelka w leśniczówce. Są już pierwsze zabudowania Jagniątkowa. Udało się, wróciłem cały i zdrowy. Tylko niesamowicie zmęczony. Ważne jednak, że zaraz będę w domu. Jest godzina dziewiąta wieczór. Czyli moja dzisiejsza wycieczka trwała piętnaście godzin.

## **Via Regia - przejście z Kamenz do Königsbrück**

13 października 2012 roku ponownie spotkaliśmy się na szlaku Via Regia. Jest nas tym razem pełen autobus. Rozpowiadanie sąsiadom i znajomym o takich fajnych spacerach oraz relacje z poprzednich przejść zrobiły swoje. Chętnych, którzy zgłosili się tym razem jest tak dużo, że chyba nikt się tego nie spodziewał. Ale to dobrze. Zawsze w większej grupie jest raźniej, więcej się dzieje. Oczywiście prowadzący ma trudniejsze zadanie, bo nie jest prosto zapanować nad tak liczną grupą, jednak Emil Mendyk, który rusza razem z nami, ma w tym wprawę. Pewnie da sobie radę. Dzisiejsza wycieczka jest ostatnią w tym roku z cyklu pieszych przejść, jakie zostały zorganizowane w ramach



wspólnego polsko-niemieckiego projektu pod nazwą: „Via Regia - poznać Europę - od historii do przyszłości”. Organizatorem projektu jest, ze strony polskiej Stowarzyszenie Południowo-Zachodnie Forum Samorządu Terytorialnego "Pogranicze" z Lubania, a ze strony niemieckiej Christlich-Soziales Bildungswerk Sachsen z Miltitz. Uczestniczący w pieszym przejściu mają zapewniony w ramach wspomnianego projektu darmowy przejazd autobusem z Lubania do Kamenz i z Königsbrück do Lubania. Mają także znajomego się na rzeczy prowadzącego oraz opiekunów. Nic zatem nie może przeszkodzić w realizacji głównej myśli jaką jest przejście trasy, którą od wieków podążają pielgrzymi zmierzający do Santiago.

My, jak zwykle, spotkaliśmy się przy zajezdni PKS w Lubaniu, gdzie czekał na nas autobus, a w nim znany z poprzednich wycieczek kierowca, który już dawno przestał się dziwić naszemu dziwactwu, jak niektórzy mówią o tych wyprawach. Nie tracąc czasu wyruszyliśmy w drogę do Zgorzelca, by zabrać pozostałych uczestników wycieczki. Wśród czekających na nas przy moście Staromiejskim byli piechurzy z Wrocławia. Natomiast spora ekipa niemiecka miała tą przewagę nad nimi, że była z nimi Helenka Winter z Görlitz, najmłodsza uczestniczka naszych przejść.

Gdy tylko ruszyliśmy niektórzy od razu wyjęli kanapki. Okazało się, iż w pośpiechu nie zdążyli zjeść śniadania. Na szczęście mamy godzinkę na dojazd do Kamenz. Wbrew zapowiedziom w telewizji wyszło słońce i robi się coraz ładniej. Patrząc na mijaną okolicę wydaje mi się, iż obłoki na niebie szybko suną do przodu razem z nami, natomiast las i widoczne później zabudowania pozostają z tyłu. Wkrótce ukazuje nam się wieża kościoła w Gröditz. To tam, gdzie podczas jednej z poprzednich wędrówek poznaliśmy Dietmara ze schroniska św. Marty i jedliśmy pyszny gulasz w stołówce znajdującej się w starej stodole. Ledwo przypomnieliśmy sobie te piękne chwile już za oknem widzimy Budziszyn, przepiękne miasto, z ogromną ilością zabytków. Myślę, że nikt, kto zawita w te strony nie ominie Budziszyna, zwłaszcza, że z drogi widzimy kilkanaście wież. Już sam ten widok zachęca do zjechania z autostrady.

My skręcamy na wysokości miejscowości Ujazd, przy jednym z 40 kościołów nazywanych autostradowymi. Jest to nowość. Kościoły te mające służyć podróżującym autostradami, często są czynne przez całą dobę. Tak aby kierowca, który ma taką potrzebę mógł zatrzymać się i pomodlić w Domu Bożym. Przejeżdżając obok miejscowości Miltitz dowiadujemy się, że to właśnie tutaj ma swoją siedzibę niemiecki organizator naszej wycieczki.

Ale oto jesteśmy w Kamenz. Dostrzegamy białą wieżę kościoła NMP, nieco dalej widać drugą mniejszą o kolorze czerwonym. Stoi ona w miejscu usytuowania dawnej baszty bramnej. Pierwszym ciekawym obiektem jaki spotykamy na swojej drodze jest słup poczty saskiej z 1725 roku. Wryto na nim odległości do poszczególnych miast, w tym do Königsbrück, miasta do którego będziemy zmierzać. Przed nami biały szczyt kościoła św. Anny a obok przeszklony budynek Informacji Turystycznej, z której przechodzi się do muzeum mieszczącego się właśnie w tym kościele. Pełni on obecnie funkcje muzealne. Wita nas tutaj w imieniu burmistrza miasta, pan Jörg Bäuerle, jego zastępca, który swoją pracę wykonuje na zasadach wolontariatu.

Okazuje się, że w roku obecnym kościół ten obchodzi piękny jubileusz. Poświęcono go równo pięćset lat temu. Obecnie świątynia ta należy do międzynarodowej sieci dróg Via Sacra. Są w nim zgromadzone najcenniejsze obiekty sakralne pogranicza polsko - niemiecko - czeskiego. Początkowo wydaje nam się on wielką pustą przestrzenią. Są tu ustawione plastikowe krzeselka i kilka nowoczesnych rzeźb będących efektem polsko-niemieckich warsztatów artystycznych. Jednak po chwili dostrzegamy wiszące na filarach ołtarze. Patrzymy na nie i nie możemy oderwać od nich wzroku. Powiedzieć, że są one piękne to za mało. Są przepiękne. W pierwszym widzimy Marię z Jezusem i Św. Annę. W drugim św. Franciszka, ukazującego swoje stygmaty. W trzecim (tutaj głównym) widzimy św. Annę i Marię oraz dzieciątko. Na bocznych skrzydłach ołtarza umieszczono rzeźby przedstawiające siostry Marii, także Marie. Aby je odróżnić dodano im imiona ojców. I tak pierwsza była Maria Kleofasa, druga Maria Salome. W czwartym ołtarzu widzimy Boga Ojca stojącego w towarzystwie Św. Franciszka i św. Bernarda. Ostatni ołtarz przedstawia Marię otoczoną złotymi promieniami. W ołtarzu tym przedstawiono scenę nawiedzenia Marii. Pokazano tu spotkanie ciężarnej Marii ze św. Elżbietą noszącą w łonie Jana Chrzciciela. Przekaz mówi, że w trakcie tego spotkania oboje dzieci nawiązały ze sobą pierwszy kontakt, jeszcze przed ich narodzinami.

Przed wyjściem ze świątyni najmłodsze uczestniczki wypatrzyły ustawione flagi. Jest cały komplet, czyli niemiecka, unijna i polska.

Idziemy zwiedzać miasto. Po drodze dowiadujemy się wielu ciekawostek z jego historii. Chyba najciekawsza to ta, że gdy w 1565 roku podjęto decyzję o rozwiązaniu klasztoru, wpisano w niej postanowienie o zachowaniu kościoła. Przyczyniło się to do uratowania pięknego ołtarza w czasach, w których nie tylko niszczone wszelkie ozdoby ale także wręcz rozbierano, uważane za zbędne, całe świątynie.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko zwiedzanego kościoła, widzimy budynek, w którym znajduje się muzeum Gottholda Ephraima Lessinga. Wzniesiono go w dwusetną rocznicę urodzin pisarza, a otwarto w 1931 roku. Jednym z najbardziej znanych dzieł Lessinga jest Natan Mędrzec – pięcioaktowy dramat, w którym zawarł on przypowieść o pierścieniu.

Wielki zielony gmach jaki właśnie widzimy to budynek szkolny. Ciekawe są umieszczone nad dwoma wejściami napisy. Pierwszy zachęca do uczenia się mądrości, drugi do ćwiczenia cnoty. Pierwszymi drzwiami wychodzą ze szkoły chłopcy, drugimi dziewczynki. Jednak najciekawszy jest napis widniejący w bruku placu pomiędzy szkołą a kościołem. Jest to cytat ze św. Franciszka z Asyżu, „Czyń najpierw to co konieczne, potem to co możliwe, i nagle okaże się, że możesz uczynić to co niemożliwe”.

Na teren starego miasta wchodzimy przez bramę wykutą w murze przez Franciszkanów, którzy po pożarze musieli, zgodnie z decyzją władz, nowy klasztor wybudować poza murami miejskimi. Po pewnym czasie udało im się załatwić zgodę na wykonanie przejścia skracającego drogę do centrum.

Wykorzystujemy to i dochodzimy do ratusza zbudowanego z czerwonej cegły. Oczywiście obecny wzniesiono po pożarze jaki miał miejsce w roku 1842. Architektem tej budowli był Schramm, który jednak wykorzystał przy pracach projektowych szablony K. Schinkla, twórcy przebudowy zamku królewskiego w Mysłakowicach. Na 40-metrowej wieży ratusza umieszczono herb miasta Kamenz, w którym widzimy barwy miasta (kolor biały i czerwony) oraz barwy Górnych Łużyc (kolor żółty i niebieski).

Kamenz już od pół tysiąca lat jest miastem targowych. Tradycyjnie jarmarki odbywają się tu w każdy czwartek. Nas jednak zaciekawiło co innego. Ujrzelśmy bowiem wychodzących z ratusza ludzi z dziećmi. Zapytaliśmy o co chodzi. Okazało się, że mają tu ciekawy zwyczaj upamiętnienia nowych obywateli miasta. Burmistrz podejmuje w ratuszu rodziny z narodzonymi w ostatnim roku dziećmi, a później wszyscy są świadkami sadzenia nowych drzewek, poświęconych każdemu z dzieci.

Fajna sprawa!

Wśród budynków usytuowanych na rynku wyróżnia się duża budowla z mieszczącą się w niej restauracją „Złoty Jeleń”. Okazuje się, że jest to najdłużej działająca gospoda. Posiłki podaje się tutaj już od ponad pięciuset lat. To tutaj wyprawiono ucztę gdy narodził się mały Lessing. Budynek ten ma jednak swoją tajemnicę. Początkowo nie wiadomo było dlaczego podczas wielkiego pożaru w 1842 roku, kiedy to spłonęło niemal całe miasto, on ocalał. A sprawa wyglądała następująco. Dawno temu zawitała tu cyganka. Gdy posiliła się, nie mając czym zapłacić zaproponowała właścicielowi, że zamiast tego odmówi błogostawieństwo chroniące dom przed ogniem. Ponieważ w tamtych czasach strach przed pożarem był olbrzymi, właściciel przystał na taki rodzaj zapłaty. I ponoć właśnie to ocaliło dom przed późniejszym ogniem. Warto zatem okazać czasami odrobinę wyrozumiałości i dobroci dla innych.

W historii Kamenz jest jedna niezbyt chlubna chwila. Było to w czasie wojny 30-letniej. W założonej tu mennicy wytwarzano pieniądź będący chyba najgorszym w tamtych czasach środkiem płatniczym.

Pora jednak ruszyć dalej, bo jak tak dalej pójdzie, to nie wyjdziemy dzisiaj z Kamenz. Jest jednak jeszcze jeden obiekt, który musimy obejrzeć. To kościół Najświętszej Maryi Panny. Idziemy do niego uliczką wyłożoną starym brukiem. Obok widzimy na filarach metalowe haki. Zaciekawieni pytamy czemu one miały służyć. Okazuje się, iż to właśnie tutaj wieszano tusze mięsa, którymi handlowano.

Ale oto dochodzimy do kościoła. Od razu naszą uwagę przykuwają, umieszczone na 63-metrowej wysokości wieży, piękne kamienne rzygacze. Każdy z nich przedstawia coś innego. Jest czworonożne zwierzę z ludzką głową, jest takie same z głową wilka? Kolejne to na pewno postać małpy. Ale jest też rubaszna świnka z pierścieniem na palcu. Pierwotnie w tym miejscu znajdowała się wieża strażnicza. Od czasu jak miasto zdobyli Husyci organizowana jest tu procesja dziękczynna i błagalna. Mówi się, że oszczędzono wtedy mieszkańców choć faktem jest, iż zginęło ich wówczas ponad tysiąc. Co roku organizuje się tu także, w święto leśników, marsz ubranych w białe szaty dzieci, które zmierzają naprzeciw Husytom.



**Kościół NMP w Kamenz**

Wnętrze świątyni jest dla nas całkowitym zaskoczeniem. Te sklepienia, łuk triumfalny ozdobiony krzyżem i rzeźbami, no i sam ołtarz główny. Jest na co popatrzeć. W czasach kiedy zmuszono księży do odejścia od katolicyzmu dobudowano empory. Uwagę zwraca bogato zdobiona loża. Najpiękniejszym jednak obiektem jest wspomniany już ołtarz przedstawiający św. Marię trzymającą na rękach dzieciątko. W bocznych płycinach umieszczono św. Andrzeja (po prawej) i św. Krzysztofa (po lewej). Postać św. Krzysztofa ukazywana jest w kościele tak rzadko, że nie mogłem odmówić sobie zrobienia zdjęcia z moim patronem.

Oprowadzający nas po kościele uświadomił nam, że nie zawsze warto być mądrym. No może warto być ale nie należy się z tym obnosić. Otóż ostatni prowadzący ku Bogu zakonników opat był, jak na tamte czasy, tak wielkim uczonym, że zwykli ludzie, zaczęli podejrzewać go o konszachty z diabłem. Było to tak silne, że o to samo oskarżono nawet jego synową. Dla pewności spalono ją na stosie.

Kościół ten położony jest na trasie szlaku św. Jakuba i w związku z tym możemy otrzymać tu stosowną pieczętkę do paszportu pielgrzymiego. Niektórzy z tego skorzystali i będą mogli pochwalić się nią w domu.



**Ratusz w Kamenz**

My wróciliśmy na rynek gdzie zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek. Przy okazji obejrzelśmy ze wszystkich trzech stron fontannę ufundowaną przez burmistrza Andreasa Günthera w roku 1570 z okazji odzyskania utraconych przez miasto przywilejów.

Ponieważ byliśmy bardzo zadowoleni z tego co tu zobaczyliśmy poprosiliśmy burmistrza aby ustawił się z nami do wspólnej fotografii na tle ratusza. Na koniec Jörg Bäuerle pobłogosławił nas na dalszą wędrówkę i wyruszyliśmy w drogę.

Mijając pomnik żołnierzy radzieckich poległych podczas II wojny światowej wchodzimy do niezwykłego parku. Obecnie mieszkańcy nazywają go Parkiem Ludowym. Idąc aleją można wypatrzyć wśród drzew gałąz z wrytym nazwiskiem Wilhelm Weisse. To właśnie jego praca dała początek temu założeniu. Jesteśmy już trochę zmęczeni więc większość z nas omija samo wzgórze z widoczną wieżą widokową Hutberg. Powoli schodzimy na dół do widocznej drogi asfaltowej, przy której pasą się koniki. Staramy się podsuwać im jabłka, spadające z przydrożnych drzew. Same bowiem nie mogą do nich sięgnąć poprzez ogrodzenie. Powoli nasza grupa rozciąga się. Wkrótce ci ostatni nie widzą czołówek. Ale to nic. Przy pierwszym przystanku na odpoczynek znowu będziemy razem. Przyglądamy się jeszcze jak olbrzymi ciągnik jeździ się po polu. Aby jechać równo ma on

zamocowaną długą tyczkę na kole, która znaczy ślad w ziemi. Nawracając traktorzysta jedzie środkiem tego śladu i w ten sposób nie pryska dwa razy tego samego miejsca. Gdy mijamy mały laszek widzimy ustawiony przy drodze słupek poczty saskiej z datą 1723. Zaraz za nim docieramy do miejscowości Schwosdorf. Tam robimy dłuższy odpoczynek. Musimy poczekać, gdyż nasi niemieccy wędrowcy zapodziali się gdzieś. Wkrótce pojawiają się oni na horyzoncie i znowu jesteśmy w komplecie. Na mijanym drogowskazie napisano, że do Königsbrück mamy jeszcze 10 kilometrów. Trochę nas to przeraża. Myślę jednak, że damy sobie radę. W końcu nasze dzisiejsze przejście jest dużo krótsze niż normalnie. Zaplanowana trasa liczy niespełna dwadzieścia kilometrów.

Próbujemy zaprzyjaźnić się ze stadem muflonów. Niestety te najwyraźniej nie podzielają naszych zamiarów. Idziemy zatem dalej w stronę domu pielgrzyma. Na drzewie widzimy ciekawy znak. Jest to malunek przedstawiający czerwonego dzięcioła (chyba). Co jakiś czas stoją przy trasie małe drewniane altanki, w których można odpocząć. Nie mamy jednak czasu na to. Docieramy do Reichenau. Tutaj Emil zarządza kolejny, ostatni już w dniu dzisiejszym, odpoczynek. Rozkładamy się na trawie przy płynącej rzeczce. W bystrym nurcie odbijają się promienie słoneczne. Wszyscy robią

sobie pamiątkowe zdjęcie ze stworkiem zrobionym z dwóch bel siana. Ponieważ stworkowi brakowało jednego oka Kryśka użyczy mu swojego kapelusza. Zawiesza go na wbitym patyku i stworek jest jak nowy. Nie wszyscy zwracają na to uwagę ale w tle owego stworka widać ładnie zdobioną fasadę pałacu. Umieszczono na niej herb z dwoma lwami.

Najedzeni wyruszamy na ostatni już etap naszej dzisiejszej wędrówki. Pozostało nam już tylko dojście do zaplanowanej mety. Prowadzi nas umieszczony na drogowskazie mini ludzik. Wszyscy się nim zachwycają. Chyba nie ma nikogo kto nie zrobił mu zdjęcia. Wchodzimy w las. Wyraźnie czuć zapach grzybów. Część z nas w ich poszukiwaniu zapuszcza się między drzewa. Po chwili słyszymy okrzyki zadowolenia. Jak się okazało niektórzy znaleźli grzyby. Prawdziwe, jadalne. Są uradowani z tego faktu.

Powoli zaczynam doganiać czołwórkę. Niestety trochę do nich straciłem. Gdy podchodzę bliżej słyszę, że zachowują się oni jak prawdziwi pielgrzymi. Odmawiają głośno modlitwę. Po chwili zaczynają śpiewy.



***Doszlśmy do Königsbrück***

Ale oto widzimy ułożony w poprzek drogi kamień z wyrytą na nim muszlą św. Jakuba i napisem „Willkommen in Königsbrück”. To wyraźny znak, że docieramy do celu. Najpierw jednak osiągamy kolejny punkt wypoczynkowy, z którego jednak nie korzystamy. Idący przodem poszli dalej. My postanowiliśmy zrobić pamiątkowe zdjęcia bo jest tu kilka ciekawostek. Przede wszystkim miniaturowa figurka przedstawiająca św. Jakuba. Rzeźba ta urzekła nas. W trawie obok dostrzegamy mały grób. Zaintrygowało nas to. Przecież wiadomo, że w dzisiejszych czasach nie można robić pochówków poza cmentarzami. A tutaj, umieszczono na tablicy datę narodzin i śmierci. Jest także jakiś tekst, oczywiście po niemiecku. Próbujemy go przetłumaczyć. Ponieważ wychodzi nam jakaś niedorzeczność, szukamy kogoś lepiej znającego ten język. W końcu okazuje się, iż oto ktoś pochował w tym miejscu swoją ukochaną świnkę morską. Zagadka została rozwiązana.

Musimy teraz ostro ruszyć do przodu by dogonić grupę. Udaje nam się to przy znaku drogowym oznajmującym, że właśnie wchodzimy do Königsbrück. Zrobiliśmy sobie nawet pamiątkowe zdjęcie. Wkrótce pojawiają się chodniki. Jesteśmy przecież w mieście. Co chwile mijamy jakieś ciekawostki. Jednak czas nas nagli. Jesteśmy umówieni z panem Wernerem Lindnerem, miejscowym miłośnikiem regionu oraz z panią Morawiec, która obiecała przynieść dla nas trochę literatury. Po drugiej stronie ulicy, na skwerku, stoi bardzo ładna rzeźba przedstawiająca dziewczynkę. Niewielu z nas ją zauważa.

Docieramy wreszcie do rynku, gdzie spotykamy umówione osoby. Pan Werner trzyma w ręku pęk kluczy. Są one tak niezwykle, że proszę go by zademonstrował je na tle ratusza. Wychodzi całkiem zgrabne zdjęcie. Teraz Werner, bo już się znamy, opowiada nam o mieście. Mówi, że Via Regia to od wieków przyczyna rozwoju miasta. Natomiast rynek, na którym stoimy, to miejsce odpoczynku dla pielgrzymów. Istnieją przekazy, że bywały czasy kiedy rynek nie był w stanie pomieścić przybywających tu wozów. Do obsługi wędrowców zbudowano aż trzy gospody. Widoczny ratusz został wzniesiony w 1847 roku, już po wielkim pożarze jaki miał tu miejsce.

Ruszamy za naszym przewodnikiem, który obiecał nam pokazać coś wyjątkowego. Wkrótce trafiamy do kościoła. Wystrój tej świątyni nie wywołuje w nas euforii. Werner mówi, iż jest to już trzecia budowla wzniesiona w tym miejscu. Poprzednia spłonęła w 1631 roku, a ta pierwsza w 1431. Przybywający tu pielgrzymi zawsze mogli liczyć na odpoczynek zarówno dla ducha jak i ciała. Aby przełamać dystans między nami, Werner Lindner bierze do ręki jeden z modlitewników leżących na ławkach i pokazując, że są w nim pieśni w różnych językach (także po polsku), prosi byśmy zaśpiewali wspólnie jedną z nich. Początkowo idzie nam to trochę nieskładnie ale szybko łapiemy wspólny rytm i już rozbrzmiewa w kościele zgodny chór, w którym przygodny obserwator usłyszałby różne języki. My bowiem śpiewaliśmy po polsku a wędrowcy z Niemiec po niemiecku. Teraz, gdy jesteśmy już nieco swobodniejsi Werner opowiada nam o Łużycach. Rysuje kredą na ustawionej tablicy granice Łużyc i pokazuje jak przechodzi przez nie szlak pielgrzymi. Obecnie Łużyce przedzielono granicą państwową na dwie części. Jedna jest po stronie niemieckiej, druga po stronie polskiej.

Ciekawym faktem z historii miasta jest to, że było ono katolickie, mimo iż wokół panowali ewangelicy. Stało się tak gdy zadłużony król czeski oddał miasto w zastaw, podpisując przy tym umowę, według której sprawami kościelnymi i religią na tych terenach, w dalszym ciągu zarządzał będzie on. Doprowadziło to do tego, iż w momencie kiedy Saksonia stała się krajem ewangelickim i nakazano likwidację klasztorów, na Łużycach nic takiego się nie stało. Były one przecież pod opieką króla czeskiego, będącego katolikiem. Sytuacja taka spowodowała uratowanie przed niechybnym zniszczeniem wielu zabytków, będących w dniu dzisiejszym prawdziwymi perełkami. Jest zatem z czego się cieszyć.

Werner, chcąc pokazać swoje osiągnięcia, pochwalił się, że przeszedł pieszo całe Łużyce z jednego końca do drugiego. Obecnie szykuje się do kolejnego przejścia, tak by obie trasy po ich nałożeniu na mapę utworzyły znak X. Jego wędrówka ma na celu poznanie szlaku, poznanie położonych wzdłuż niego zabytków ale także poznanie spotykanych podczas marszu mieszkańców i innych pielgrzymów. Całość swojej wypowiedzi ujął w jednym, jakże wymownym zdaniu. „Ślimak może więcej powiedzieć o drodze niż zając”. Jakież to trafne. Nikt, nie powie przecież, że ten kto idzie powoli i rozmawia z napotkanymi ludźmi będzie mniej wiedział od osoby, która przemknie tylko szlakiem, nie zważając na to co widzi po drodze.

Ponieważ czas naglił, a nas interesował ładny ołtarz, dowiedzieliśmy się, iż ma on ciekawą historię. Początkowo zbudowany jako typowy dla tego terenu, w roku 1890 został zastąpiony nowym, tak samo jak reszta wyposażenia w kościele. Wierni w tamtym okresie uznawali inne wartości i ołtarz ten jako zbyt wystawny nie znalazł uznania w ich oczach. Znaleźli się jednak ludzie uważający inaczej i schowali jego elementy. W ten sposób przetrwały one aż do końca II wojny światowej, kiedy to postanowiono ponownie je złożyć i na powrót umieścić w kościele.

Słuchając tych opowieści nawet nie zauważyliśmy, że zrobiło się późno. Jednak nasz gospodarz czuwał cały czas. Okazało się, że do jego obowiązków należy wejście na wieżę kościelną i uruchomienie dzwonów tak by te wybiły godzinę 17-tą, co zwiastowało mieszkańcom nadejście niedzieli. Można zatem powiedzieć, że Werner wchodzi na wieżę w sobotę, a schodzi w niedzielę. Mieliśmy dwa wyjścia. Albo zegnamy się, albo idziemy razem na wieżę, by podziwiać z niej widoki. Oczywiście nie możemy przepuścić takiej okazji. Ruszamy wszyscy stromymi schodami, których naliczyłem ponad 100, i wchodzimy do pomieszczenia zwanego „izdebką”. Jest tutaj stolik z wyłożoną na nim księgą pamiątkową, w której Emil umieścił stosowny wpis. Są krzeselka. To dobrze bo niektórzy muszą usiąść z wrażenia, jakie wywołuje chwiejąca się drewniana podłoga. Na ścianach wiszą stare fotografie przedstawiające jak wyglądały niektóre budowle miejskie przed wojną. Najciekawszym jednak obiektem znajdującym się tutaj jest wielka szafa kryjąca urządzenie do

uruchamiania dzwonów. Werner przy pomocy korby nakręca mechanizm i słyszymy głos dzwonów. Gdy te milkną (po pięciu minutach) rozpoczyna się wybijanie godziny. Liczymy: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Zgadza się, jest piąta po południu. Ale oto słyszymy kolejne uderzenie dzwonu, jeszcze jedno, i jeszcze... Co jest? - myślimy. Zacięło się coś? Liczymy bo może tych uderzeń będzie siedemnaście. Jednak nie. Dzwony milkną po dziewiątym uderzeniu. Jesteśmy całkowicie zdezorientowani. Nikt nie wie o co chodzi. Trzeba koniecznie to wyjaśnić. Najpierw jednak wychodzimy na zewnętrzny taras i obchodzimy wieżę dookoła. Jesteśmy ponad czterdzieści metrów nad ziemią. Nie ma zatem co się dziwić, że niektórzy czują się nieswojo. Wiejący wiaterek też nie pomaga. Jednak widoki warte są by się poświecić.

Gdy zeszedliśmy na dół od razu pytamy o zagadkę związaną z ilością uderzeń dzwonów. Niestety tłum jak zapanował w małym pomieszczeniu i harmider (każdy mówił o swoich wrażeniach) nie pozwolił na dokładne zrozumienie wyjaśnienia. Wychodzi na to, że każde z uderzeń to znak dla wiernych do odmówienia kolejnego z wezwań zawartych w modlitwie „Ojcze nasz”. Teraz Werner, będąc pewnym, że z wrażenia zaschło nam w gardle, proponuje poczęstunek. Na ławeczce stoją kubki oraz dzbanki z wodą i winem. Każdy sam musiał zdecydować czym najlepiej ugasi pragnienie. Kłopotu z podjęciem decyzji nie mieli tylko ci, którzy później będą prowadzić swoje samochody.

Teraz czekała nas jeszcze jedna niespodzianka. Otrzymaliśmy od gospodarza „Talary św. Jakuba”. Na ich opakowaniu wydrukowano napis: „Talar św. Jakuba, wyprodukowany z ciasta piaskowego, może być przeznaczony do spożycia w czasie trudu pielgrzymiego dla wędrujących szlakami Via Regia. Znajdująca się tu muszla jest od wieków znakiem pielgrzymów podążających z różnych stron świata do grobu Jakuba. Szlak wyznaczony na nowo w 2003 roku ma połączenia z innymi szlakami prowadzącymi do Hiszpanii i w ten szczególny sposób łączy ludzi i kraje. Niech Bóg błogosławi nas wszystkich”.

Po takich przeżyciach nie pozostało nam nic innego jak wspólne odmówienie „Ojcze nasz” (każdy, tak jak poprzednio, mówił w swoim ojczystym języku) i pożegnanie. Ci, którzy mieli taką potrzebę, zostali by otrzymać specjalną pieczęć potwierdzającą przybycie do tego miejsca. Ci, którzy nie czuli takiej potrzeby, ruszyli w stronę czekającego na nas autobusu, wypatrując jeszcze po drodze czy nie znajdą czegoś ciekawego. I nie zawiedli się. Najpierw dojrzeli w budynku po drugiej stronie ulicy portal z umieszczonym nad nim białym łabędziem a chwilę później rzeźbę przedstawiającą kobietę trzymającą na rękach małego prosiaczka. Oboje, zarówno kobieta jak i prosiaczek mieli tak urocze miny, że długo staliśmy wpatrzni w ich oblicza myśląc które z nich wygląda rozkoszniej. Autor tego dzieła osiągnął mistrzostwo. Dawno nie spotkaliśmy tak pięknej rzeźby.

I tym miłym akcentem zakończyliśmy nie tylko dzisiejszą wycieczkę ale całoroczne podróże szlakiem Via Regia. Dzięki udziałowi w tych, co prawda dosyć długich przejściach, poznaliśmy wiele miejscowości, zabytków, ciekawostek, ale nade wszystko poznaliśmy wielu ciekawych, miłych i przyjaźnie nastawionych ludzi. Zawiazaliśmy nowe przyjaźnie. Przekonaliśmy się, że można przyjemnie spędzając czas osiągnąć spokój ducha i zmienić swoje nastawienie do otaczającego nas świata. Dzięki wspólnym podróżom przekonaliśmy się, że nie należy bać się wyruszać w nieznaną, bo spotykani po drodze ludzie mimo, iż są innej narodowości, wcale nie różnią się od nas tak bardzo. Oni także są ciekawi nowych znajomości i z ochotą słuchają naszych opowiadań. Dzięki temu gdy innym razem to oni przybędą do nas będą wiedzieć, że u nas także mogą liczyć na życzliwość i pomoc z naszej strony.

## Spacer po czeskiej stronie Karkonoszy

Ponieważ zbliżał się termin prelekcji, jaką miałem zaprezentować w Karpaczu, postanowiłem dłużej nie zwlekać i ruszyć w góry, by zrobić kilka ładnych zdjęć. Zależało mi na pokazaniu ludziom, którzy mieli tu przybyć z całej Polski, Karkonoszy po czeskiej stronie granicy. Długo czekałem na ładną pogodę. Niestety prognozy były niezbyt zachęcające. Podjąłem jednak decyzję, że wyruszę w niedzielę 14 października 2012 roku. Niezależnie od tego jak będzie na dworze.

Wstaję wcześnie rano i wyglądam za okno. Nie jest źle. Pakuję plecak i idę na dworzec by zdążyć na autobus do Szklarskiej Poręby. Nawet nie ma tłoku. Po drodze wsiadają znajomi ale mają inne plany. Gdy ruszam w stronę wyciągu w górach pojawia się mgła. Nie wróży to nic dobrego. Ponieważ wiadomo, że pogoda w górach potrafi zmieniać się bardzo szybko, mam nadzieję, iż i tym razem tak będzie. Widzę, że wyciąg już działa. To dobrze. Podchodzę do kasy aby kupić bilet. Kasjerka jest lekko zdziwiona, że proszę o bilet tylko w jedną stronę. Informuje mnie o warunkach panujących na górze. Jest tam ledwie jeden stopień ciepła i zalega mgła. Jednak tu na dole świeci ładne słońce. Mam zatem nadzieję na rozejście się mgły. Niestety gdy jadę wyciągiem widzę, iż pani miała rację. Im jestem wyżej, tym pogoda robi się coraz gorsza. Postanawiam jednak nie rezygnować i mam nadzieję na chociaż kilka udanych fotek. Jadący przede mną wyciągają wszystko co mają w plecakach. Zakładają dodatkowe swetry i kurtki. Chyba jest im zimno. Przypomina mi się moja wycieczka sprzed tygodnia kiedy to złapała mnie śnieżycą. Czyżby i tym razem miało tak być?

W końcu jestem na Szrenicy. Schroniska prawie nie widać. Mgła jest coraz gęstsza. Przepraszam się z czapką i rękawicami. Nie tracąc czasu ruszam przed siebie. Wygląda na to, iż jestem jedynym, który wypuszcza się poza obręb schroniska. Wkrótce widzę skałki. To Trzy Świnki. Czesi nazywają je Svinské kamene. Uważam, że nasza nazwa jest ładniejsza. Dlatego nie rozumiem dlaczego jedna świnka poszła sobie na czeską stronę. Mogłaby już wrócić.



*Twarożnik, Česká budka, źródła Łaby*



Mijam Mokrą Przełęcz i podchodzę do Twarożnika. Wreszcie napotykam innych wędrowców. Jedna z dziewczyn przewiązała się w tali grubą liną, do której uwiązała psa, tak by ten pomagał jej podchodzić pod górę. Cwaniaczka. Pogoda wciąż się psuje. Zrywa się tak mocny wiatr, że muszę założyć kaptur by nie zwiało mi z głowy czapki. Korzystam z ustawionej za skałami ławeczki i jedząc kanapkę zastanawiam się czy jednak nie zejść na dół. W pewnym momencie wiatr porwał mi torebkę. Oczywiście pobiegłem za foliówką. Jednak zanim ją złapałem nieźle się natrudziłem. Wracając w stronę ławeczki dostrzegłem w trawie puste puszkę po piwie. Niestety nie wszyscy, tu przybywający, zabierają śmieci ze sobą. Nie mogę tego zrozumieć. Jak to jest, że idący w góry niosą z pełnym poświęceniem puszkę ważące przecież po pół kilograma każda, a gdy te już opróżnią, to mimo, iż ich waga nie przekracza wtedy kilka deko wyrzucają je w krzaki.

Po napiciu się ciepłej herbaty poprawia mi się nastrój. Postanawiam iść dalej w stronę Mokrej Ścieżki by tam podjąć ostateczną decyzję o dalszej trasie dzisiejszego spaceru. Na szczęście nie jest zbyt zimno. Wiatr jednak jest tak silny, że widać go. Dosłownie. Widać wyraźne fale napływające co chwilę z dołu. Przy drodze widzę ustawione już zimowe oznaczenie trasy. Część zapasowych tyczek pozostawiono w stogach przy ścieżce. Pozwala to w razie czego wejść w środek i schronić się przed zimnem robiąc z nich namiot. Dochodząc do miejsca zwanego Česká budka decyduję się na dalszą wędrowkę. Skręcam na szlak żółty i schodzę na dół do źródeł Łaby. Wiatr wiejący teraz wprost na mnie przybiera siłę huraganu. Ciężko jest oddychać. Mimo, iż idę na dół to co chwilę cofam się do tyłu. To wiatr odpycha mnie pod górę. Coś niesamowitego! Z trudem przechodzę kilkaset metrów ale gdy docieram do źródeł Łaby wiatr nagle ustaje. Robi się cichutko. Z mgły wyłania się biały pies. Po chwili drugi i trzeci. Co jest – myślę sobie? Ale oto pojawiają się właściciele piesków. To czescy turyści. Witają się ze mną. Idą jednak dalej pod górę ścieżką, którą właśnie zszedłem. Ja korzystając z chwili spokoju oglądam ujęte kamiennym kręgiem źródło, z którego ma wypływać Łaba. Nie jest to jednak do końca prawda. Wyraźnie widać, że strumyk wypływa nieco wyżej. Nie ma to jednak większego znaczenia. Chodzi przecież o symbol.

Za kręgiem widzę nasyp wyłożony kamieniami. Z obu jego stron wykonano schodki tak by grupy turystów mogły zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Warto to uczynić zwłaszcza, że znajduje się tu 28 tablic z herbami. Dobrze pomyślane. Obok przy ławeczkach ustawiono drewnianą figurę przedstawiającą rusałkę. Przybywa kolejna grupa. Wsluchując się w ich rozmowę wiem, że są to Polacy. Oni już się nie witają. Siedząc na wygodnej ławce czuję jak robi mi się zimno. Trzeba ruszyć dalej by się rozgrzać. Decyduję się iść w stronę schroniska Labská bouda.

Ostrożnie schodzę ścieżką w dół. Nagle widzę we mgle jakiś wielki cień. Coś wielkiego i czarnego. Podchodzę bliżej. Już wiem. To schronisko. Ma ono ciekawy kształt. Wygląda jak rozłożone na dwie strony skrzydła. Im bliżej podchodzę tym wydaje się ono większe. Obchodzę je dookoła i staję przed wejściem. Szykuję aparat by zrobić zdjęcie z tej strony i nagle zmienia się pogoda. Mgła gdzieś się ulatnia i wychodzi słońeczko. Robi się ciepło i przyjemnie. Coś niesamowitego. Nigdy nie pomyślałbym, że pogoda może zmienić się tak szybko. Przecież obejście schroniska nie trwało nawet dwóch minut.

Wchodząc na salę dostrzegam spotkanych na szlaku turystów. W sumie jest kilkanaście osób. Zamawiam coś ciepłego do jedzenia i rozkładam mapę by zdecydować jak pójdę dalej. Nagle słyszę jakieś głosy. To do środka wchodzi spora grupa dzieci. Robi się tłoczno. Wbijam sobie do notesu pamiątkowe pieczątki i wychodzę. Jest już południe. Ponieważ znowu naszła mgła uznaję, że nie ma co liczyć na ładne panoramy. Muszę wybrać czy dalej udać się szlakiem żółtym w stronę Śnieżnych Kotłów czy zielonym do Martinovej boudy. Ponieważ pogoda ponownie zaczęła się psuć wybieram drugi wariant. Schodzę poniżej schroniska i oczom nie wierzę. Idę w dół a schronisko wciąż rośnie. Pojawiają się wciąż kolejne kondygnacje. Gdy jestem na dole okazuje się, iż ma ono dziewięć pięter. Co za moloch. Nic dziwnego, że obecnie używane jest tylko jedno piętro. Były ponoć nawet plany by je zburzyć. Jednak ze względu na koszty takiej operacji odstąpiono od tego pomysłu.



***Schronisko Ląbská bouda i wodospad Łaby***

Jestem w miejscu, w którym rozchodzą się szlaki. Rozglądam się i dostrzegam w oddali jakąś tabliczkę. Pod nią widać stolik i ławeczki. Wykorzystuję zbliżenie w moim aparacie i okazuje się, że jest to kierunkowskaz do wodospadu Łaby. Od razu podążam w tym kierunku. Dostrzegam tu kamienne schodki prowadzące do platformy widokowej. Końcowe schodki wykonano z drewnianych bali. Zapomniano jednak o barierkach co przy takiej pogodzie nie jest zbyt bezpieczne. Nie mogę jednak zrezygnować z zobaczenia wodospadu. Wchodzę na platformę i ... rozczarowanie. A cóż to za wodospad. Okazuje się, że płynąca w dół woda spada małymi kaskadami. Cóż więc z tego, że mają one kilkadziesiąt metrów jak nie wywierają odpowiedniego wrażenia. No cóż, nie każdy wodospad musi być atrakcyjny.

Wracam pod schronisko i gdy ruszam dalej zaczyna padać mokry śnieg. Wiatr przeszkadza w marszu. Nie ma co, trzeba kończyć dzisiejszą wycieczkę. Podchodzę kilkaset metrów pod górę. Widzę jak wychodzą ze schroniska dzieci i wraz z opiekunami podążają szlakiem żółtym. Obracam się by ostatni raz spojrzeć na schronisko i znowu pogoda zmienia się. Wiatr rozgania mgłę, śnieg przestaje sypać, wyraźnie czuję na twarzy ciepło promieni słonecznych. Wśród traw dostrzegam pięknego czerwonego muchomora. Na takiej wysokości. Po chwili widzę jagody. Zbieram garść by spróbować jak będą smakować. W obawie przed bąblowicą myję je w płynącym tu strumyku. Są one lekko cierpkawe i trochę suche.

Ponieważ zrobiło się bardzo ciepło ściągam czapkę, rękawiczki i kurtkę. Idąc dalej muszę jeszcze zdjąć sweter. Widząc ładną skałę rozkładam się na niej i wygrzewam w promieniach słonecznych. Jest przyjemnie. Po jakimś czasie zerkam jednak na zegarek i widzę, że trzeba iść dalej. Ścieżka, którą idę została wyłożona dużymi kamieniami. Idzie się po niej jak po brukowanej ulicy. Po chwili widzę w oddali jakieś zabudowania. Na błękitnym niebie suną białe obłoki. Ale oto dostrzegam w dole pod nogami schronisko. To Martinova bouda. Schodzę niżej i widzę Śnieżkę. Jak inaczej wyglądają talerze od tej strony. Wydaje mi się, iż dostrzegam budynek Odrodzenia. Mogę teraz popatrzeć na Kozie Grzbiety. Dostrzegam ścieżkę, którą szedłem tydzień temu.

Wchodzę do schroniska by napić się czegoś. Budynek z zewnątrz dosyć spory, wewnątrz wcale nie jest duży. Dla turystów wydzielono tu wąską może na dwa metry salę. Jest ona co prawda bardzo długa. Ma to także dobre strony. Otóż z okien rozpościera się wspaniały widok. Jeszcze nie zdążyłem usiąść a już stał przy mnie kelner ubrany w białą koszulę, czarne spodnie, kolorową kamizelkę i z muszką pod brodą. Pełna kultura. Zaraz przyniósł mi zimne piwo nalane w bardzo ładny kufel na którym umieszczono malunek przedstawiający Karkonosza.



**Pomnik Kalmana**

Teraz czeka mnie spory wysiłek. Muszę wdrapać się na Sedlo nad Martinovou boudou. Gdy tam dojdę będę już w Jeleniej Górze! Co prawda daleko jeszcze stamtąd do cywilizacji ale to już moje miasto. By dotrzeć do domu wystarczy tylko stoczyć się około 1 km w dół. Ja jednak zbaczam jeszcze na Czarną Przełęcz, a nawet deczko dalej. Chcę bowiem zobaczyć Kalmanův pomník. Jest to kolumna ustawiona na kopcu z usypanych kamieni z tekstem upamiętniającym czeskiego dziennikarza R. Kalmana, który poniósł tutaj śmierć w 1929 roku. Wędrując w połowie stycznia został on zaskoczony przez zamieć śnieżną i zmarł.

Wracam na Czarną Przełęcz. Przy znajdującej się tam wiacie odpoczywa spory tłumek. Ponownie witam się z Czechami spotkanymi przy źródłach Łaby. Towarzyszące im psiaki chyba mnie poznały. Wygląda na to, że wkrótce będzie się ściemniać. Ruszam Koralową ścieżką, prowadzącą zakosami po zboczu Czarnego Kotła Jagniątkowskiego. Co chwilę przystaję by napatrzeć się na położoną w dole Kotlinę Jeleniogórską. Widać stąd stawy podgórzeńskie, zbiornik w Sosnowce, wioski wcinające się w górskie doliny. Widać kominy jeleniogórskie, ale także halę Polkoloritu, czy hen daleko górę Połom. Widoki są tak piękne, że nie wiem na co mam patrzeć, czy na nie, czy pod nogi. I to kusi i to jest potrzebne do zachowania bezpieczeństwa. Głupio byłoby patrząc na widoki wywrócić się. O, widać nawet budynek dawnego sanatorium kolejowego w Szklarskiej Porębie. Czarny Kocioł faktycznie jest czarny. Właśnie nasza chmura i cień, który schodzi w jego czeluść tworzy widoczną czerń.



*Czarny Kocioł Jagniątkowski*



*Dzik na środku drogi*

Przy czarnym szlaku dochodzę do wiaty. Robię tu krótki odpoczynek i ruszam dalej. Nie ma co zwlekać bo zaczyna się szarówka. Nagle patrzę a na środku drogi stoi sobie dzik. Dobrze, że jeszcze nie ściemniło się całkiem. Dzik okazał się tylko kawałkiem drzewa o bardzo podobnych kształtach, które jakiś dowcipniś ustawił na samym środku leśnej drogi. Można się wystraszyć. Wiadomo, dzik jest dziki. Zrobiłem zdjęcie tego okazu i wychodząc koło gospodarstwa KPN docieram na przystanek autobusowy przy domu Gerharta Hauptmanna. Mam szczęście, stojący na parkingu autobus rusza za kilka minut.

## **XIII Zlot Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK w Karpaczu**

Gdy pewien czas temu w rozmowie z prezesem naszego Towarzystwa, Lechem Drożdżyńskim, usłyszałem od niego, że dobrze by było aby kolejny Zlot Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK został zorganizowany przez działaczy z Oddziału "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze, nie bardzo wiedziałem co powiedzieć na taką ofertę. Przecież nie mamy u nas ani jednego koła środowiskowego. Ponieważ jednak prezes nie należy do ludzi, którzy robili by sobie żarty przekazałem sprawę Andrzejowi Mateusiakowi, naszemu prezesowi urzędującemu. Na początku on również myślał, że to tylko żart. Jednak niebawem nadeszła oficjalna prośba o zorganizowanie Zlotu. Ponieważ, zupełnie przypadkowo, będąc w zeszłym roku w Kołobrzegu, wziąłem udział w XII Zlocie, wiedząc jak powinna wyglądać taka impreza przekazałem swoje sugestie Andrzejowi. Oczywiście zaoferowałem Andrzejowi swoją pomoc przy organizacji tak nietypowej dla nas imprezy. Podzieliłem się z nim swoimi uwagami i spostrzeżeniami z mojego udziału w Zlocie w Kołobrzegu. Wspomniałem także o potrzebie zaprezentowania zespołu muzycznego. Było to tak niezwykle, że nie do końca wzięto to na poważnie. Jednak gdy któregoś dnia zadzwoniono do Oddziału z pytaniem czy będzie muzyka wiadomo już było, że trzeba się postarać. Całe szczęście, że mamy zaprzyjaźnionych muzyków z zespołu "Szyszak". Ci, jak zwykle nie odmówili uczestnictwa w naszym spotkaniu. Okazuje się, że gdy wzajemnie się wspieramy zawsze możemy liczyć na pomoc.



***Komandor Andrzej Mateusiak dzwoni na otwarcie Zlotu***

Zatem gdy już wszystko było jasne przystąpiliśmy do pracy. Oczywiście najwięcej obowiązków przypadło w udziale Andrzejowi Mateusiakowi i Marii Marcinkowskiej, pracownikom naszego Oddziału. Mnie od początku nie obarczano zbyt wiele załatwianiem spraw przyziemnych typu noclegi,

wyżywienie itp. Dopiero pod koniec powierzono mi przygotowanie specjalnej trasy spacerowej po Karpaczu oraz prezentacji podczas jednego z wieczornych spotkań.

Pewnie wielu z was zapyta a cóż takiego wyjątkowego jest w tym Zlocie. Czym on różni się od innych tego typu imprez. Prawda bowiem jest taka, że spotkanie to przebiega tak samo jak inne. Różnica jednak polega na tym, iż spotykają się tutaj osoby ze środowisk miejsca zamieszkania i zakładów pracy. Są to wojskowi, straż graniczna, młodzież wiejska, spółdzielczość mieszkaniowa itp. W każdym z przedstawionych środowisk działacze tworzą mniejsze czy większe grupy o wspólnych zainteresowaniach. W tym wypadku są to ludzie propagujący aktywny wypoczynek połączony ze zwiedzaniem naszego kraju. Ponieważ nie da się żyć w zamkniętym kręgu, ludzie ci, ciekawi innych działań, chcą spotykać się z podobnymi sobie, by wymienić swoje poglądy czy pokazać to co im udaje się najlepiej, i zaczerpnąć nowe od realizujących inne wzorce.

Ważnym jest też spotkanie z członkami Komisji Środowiskowej działającej przy ZG PTTK. Jest to okazja do przeprowadzenia dyskusji, wyciągnięcia z niej stosownych wniosków oraz wysunięcia nowych propozycji.

A że uczestniczący w Zlocie chcą rozmawiać świadczy fakt przyjazdu do Karpacza zorganizowanych grup z Kołobrzegu, Łęczycy, Poznania, Gdyni, Łodzi, Brzegu, Dolnej Odry, Gorzowa Wielkopolskiego, Konina, Ozimka, Pszczyny, Ostrowa Wielkopolskiego czy wreszcie młodzieży z Zespołu Szkół w Bielicach. W sumie było nas 90. osób. Dlatego koniecznym było wydzielenie trzech samodzielnych grup, na przemian uczestniczących w wycieczkach autokarowych, pieszych oraz spacerze krajoznawczym po Karpaczu.



***Uczestnicy Zlotu przed ośrodkiem "Leśny zamek" w Karpaczu***

XIII Zlot odbył się w dniach 19-21 października 2012 roku w Karpaczu z bazą w ośrodku Leśny Zamek. Jak już wspominałem jednym z głównych celów Zlotu była wymiana doświadczeń przedstawicieli Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK. Jednak nie mniej ważnym było propagowanie zdobywania odznak turystycznych i krajoznawczych czy propagowanie turystyki kwalifikowanej i

krajoznawstwa. Oczywiście my, organizatorzy tegorocznego Zlotu, największy nacisk położyliśmy na prezentację i promocję walorów turystyczno-krajoznawczych Karkonoszy i Kotliny Jeleniogórskiej oraz Karkonoskiego Parku Narodowego. Nie ma się tu jednak czemu dziwić. Po pierwsze propagowanie piękna swojej ziemi leży zawsze w obowiązkach gospodarzy. Po drugie to właśnie na nas spoczywa obowiązek zaprezentowania ciekawych walorów krajoznawczych uczestnikom przybyłym z całej Polski, a zatem niekoniecznie znającym naszą ziemię. Po trzecie wreszcie myślę, że dzięki naszym działaniom po powrocie do domów, chyba nikt z uczestników nie będzie mógł powiedzieć, iż nie zobaczył u nas nic ciekawego. Jestem wręcz przekonany, że na długo zapamiętają oni piękno jakie im pokazaliśmy. Zwłaszcza, że pogoda nam dopisała i Karkonosze były widoczne w całej swojej krasie.

W pierwszym dniu Zlotu uczestnicy poznali historię Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie", który niedawno obchodził swoje 65 urodziny. Kol. Andrzej Mateusiak pokazał wiele zdjęć dokumentujących dzieje naszego oddziału. Opowiedział o jego historii, o znanych działaczach wywodzących się stąd lub mających wpływ na turystykę w tym rejonie, a także przedstawił troski i zabiegi związane z utrzymaniem zamku Chojnik, który jest własnością Oddziału w Jeleniej Górze. Opowiedział w jaki sposób można pozyskiwać fundusze zewnętrzne, dzięki którym realizowane są prace remontowe na zamku. Widać było, że ukazana kwota jaką udało się do tej pory pozyskać i przeznaczyć na ratowanie tego niezwykle obiektu wywołała u niektórych zaskoczenie. Nie przypuszczali oni, że pozyskanie tak dużych pieniędzy jest możliwe. A jednak. Oczywiście aby pozyskać takie pieniądze trzeba mieć tzw. wkład własny. Jeżeli jednak gospodaruje się w sposób mądry można pogodzić zarówno działalność statutową, potrzeby biura i etatowych pracowników jak i inwestycje. Zwłaszcza, że podejmowane prace nie tylko ratują Chojnik przed dewastacją ale także pozwalają podnosić komfort przybywających do zamkowego schroniska turystów oraz dbać o ekologię (np. poprzez budowę wodociągu).

Ponieważ oprócz posiadanego majątku najważniejszym dla każdej organizacji jest posiadanie dobrze wyszkolonej i oddanej pracy (przede wszystkim społecznej) kadry, Andrzej Mateusiak przedstawił zarówno komisje jakie działają przy oddziale jak i ich przewodniczących. Zaprezentował cykliczne imprezy i ich bezpośrednich organizatorów. Warto tu wspomnieć, że oddział pochwalić się może imprezami organizowanymi od pół wieku. Są to Rajd na Raty (42. edycja) czy Narciarski Rajd Karkonosze (56. edycja). Na pewno są to niezwykle osiągnięcia. Oddział w Jeleniej Górze miał zawsze wielkie szczęście do działaczy nieprzeciętnych. To właśnie dzięki nim jest postrzegany na mapie Polski jako jeden z lepszych. Dlatego warto przypomnieć wybitnych a nieżyjących już naszych działaczy. Byli nimi: Tadeusz Steć, Teofil Ligenza vel Ozimek, Mieczysław Holz, Andrzej Strycharczyk. Z żyjących słowa uznania należą się kol. Zdichowi Gaszowi, Członkowi Honorowemu naszego Towarzystwa. To właśnie u nas, tuż po wojnie, był Mieczysław Orłowicz, który zaproponował utworzenie Głównego Szlaku Sudeckiego, obecnie noszącego jego imię. To u nas, już w 1953 roku powstało pierwsze Koło Przewodnickie. To także u nas podjęto pierwsze próby tworzenia ratownictwa górskiego. Oddział oprócz zawodowych przewodników skupia kadrę społeczną posiadającą uprawnienia w prawie wszystkich dziedzinach życia turystycznego i krajoznawczego. Wielu z naszych koleżanek i kolegów znanych jest ze swojej działalności daleko poza Sudetami czy Dolnym Śląskiem. Wielu z nich, zarówno w przeszłości, jak i obecnie realizuje się w komisjach ZG PTTK. Jednym słowem Oddział "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze można, bez zbędnego zażenowania, postrzegać jako jeden z wiodących na tle całego Towarzystwa.

Na dobry początek Komandor zeszłorocznego Zlotu w Kołobrzegu, Robert Śmigielski, przekazał przyznane przez gminę Kołobrzeg medale pamiątkowe dla Lecha Drozdzyńskiego i Ryszarda Kunce. Przy tej okazji wręczono legitymację najmłodszej stażem w PTTK uczestniczce Zlotu - Kasi Dąbkowskiej.

Przewodniczący Komisji Środowiskowej Ryszard Kunce poprosił Komandora Andrzeja Mateusiaka, o otwarcie Zlotu. Ten z radością spełnił jego prośbę. Rozdzwonił się dzwonek złotowy i wszyscy już wiedzieli, że oto zaczyna się nasze spotkanie.

Ryszard Kunce przypomniał, że sztafardowe imprezy organizowane przez Komisję kierowane są do różnych środowisk. Jednak ta największa wychodzi na przeciwko młodzieży wiejskiej. Niektóre

z imprez są niewielkie ale niektóre bardzo duże. Np. teraz realizowana jest impreza pod nazwą "Moja rodzina na rowerowej trasie", której zakończenie planowane jest na Stadionie Narodowym. Bardzo ważnym jest prowadzenie działalności turystycznej na rzecz rodzin. Często skutkuje to włączaniem się młodych ludzi do wspólnego działania.

Na dzień dzisiejszy najważniejszą sprawą jest znalezienie chętnego do organizacji Zlotu w roku przyszłym. O dziwo chętny znalazł się sam. Jest nim Jacek Ziółkowski z Łęczyc. Przeprowadził on już stosowne rozmowy z burmistrzem Uniejowa i ma jego zapewnienie o przychylnym nastawieniu władz do tego pomysłu.

W dyskusji jaką rozpoczęto podniesiono głosy o organizacji imprez skierowanych do młodzieży. Z wypowiedzi wynika, że większość obecnych uważa to za najważniejsze. Jednak nie można przy tym zapominać o imprezach dla dorosłych. Nie można traktować ich tak jakby oni już się nie liczyli. Bo przecież młodzi ludzie o których teraz zabiegamy, kiedyś także staną się dorośli i muszą oni widzieć, że nie zostaną wtedy odstawieni na boczne tory. We wszystkich naszych działaniach należy zachować umiar.

Komandor namawiał wszystkich by nawiązywali bezpośrednie kontakty z władzami, gdyż te inaczej patrzą na imprezy organizowane przez konkretnych ludzi, a inaczej przez osoby dla nich zupełnie anonimowe. Ten kto wspiera organizację imprez finansowo lubi wiedzieć w jakie ręce trafiają pieniądze, bądź co bądź publiczne. Są oni wtedy pewni, że pieniądze te zostaną dobrze zadysponowane i że nikt nie będzie im wytykać fraszobliwości w ich przekazywaniu takim organizacjom jak PTTK. W Jeleniej Górze, ze względu na działające dwie prężne organizacje dokonał się samoistny podział. PTSM zajął się organizacją imprez przede wszystkim skierowanych do młodzieży a PTTK do dorosłych. Oczywiście nie jest to do końca takie proste, bo nasz oddział jest co roku organizatorem wielu rajdów, zlotów czy zjazdów organizowanych właśnie dla młodzieży szkolnej ale także dla całych rodzin. Nigdy w naszej działalności nie wytyczaliśmy żadnej granicy jeśli chodzi o uczestników i zawsze jesteśmy otwarci na wszystkie grupy wiekowe.

Właśnie takie stanowisko wyłania się z wypowiedzi Włodka Sawickiego z Żarnowca gdzie od szeregu lat organizowane są Złoty Młodzieży Wiejskiej. Chociaż niektóre głosy z sali nawoływały do organizowania jak największej ilości imprez tylko dla dzieci.

Ponieważ sprawy dyskutowane nie są sprawami prostymi postanowiono odłożyć je do jutra, dając wszystkim czas na stosowne przemyślenia. Teraz wystąpił Roman Rąpała, pracownik KPN, który wiele lat poświęcił na zebranie zdjęć pokazujących piękno Karkonoszy. Swoje zdjęcia wykonywał we wszystkich porach roku. Dlatego jesteśmy pewni, że nikt z obecnych nie mógł widzieć naszych gór w tak różnych warunkach.

Sobotni ranek przywitał nas wspaniale świecącym słońcem. Zrobiło się bardzo ciepło i przyjemnie. Przezroczystość powietrza była tak wielka, że praktycznie można było rozpoznać idących po grzbiecie ludzi. Nie było zatem co zwlekać. Szybko zjedliśmy śniadanie i wyruszyliśmy w teren.

Pierwsza grupa wsiadła do podstawionego autokaru i prowadzona przez Wiktora Gumprechta ruszyła zwiedzać Dolinę Pałaców i Ogrodów. Na pewno będą oni zachwyceni tym co zobaczą. Na stosunkowo niedużym terenie mamy tutaj olbrzymie nagromadzenie pałaców, zamków i rezydencji, wznoszonych dla ludzi stanowiących w tamtych czasach nie tylko elitę kraju ale także ludzi piastujących najwyższe stanowiska w państwie. Zwyczajem a właściwie koniecznością było, gdy cesarz wybudował tutaj swoją rezydencję, zamieszkanie w pobliżu. Przecież ludzie ci służąc władcy musieli być stale w kontakcie, a ze względu na zajmowane stanowiska musieli mieszkać godnie. Dlatego pobudowane przez nich obiekty są dzisiaj, po odbudowie, prawdziwymi perełkami. Zwłaszcza, że wokół tych budowli zakładano romantyczne założenia parkowe obejmujące nieraz teren kilku tysięcy hektarów.



Druga grupa prowadzona przez Włodka Bayera udała się na pieszą wycieczkę w Karkonosze. W planie mieli oni dotarcie przez Polanę do Samotni. W rzeczywistości jednak podeszli także pod Słonecznik, a niektórzy nawet do Domu Śląskiego. Pogoda, jak już wspominałem była wyśmienita, więc gdy nadeszła pora powrotu trudno było im się na to zdecydować.

Trzecia grupa poprowadzona przez piszącego te słowa udała się na spacer krajoznawczy po Karpaczu. Założeniem tej wycieczki było pokazanie mniej znanych walorów krajoznawczych. Jak się okazało był to dobry pomysł bowiem ci, którzy wybrali tą trasę zobaczyli wiele ciekawostek po raz pierwszy.

Wieczorem spotkaliśmy się ponownie, by tym razem dowiedzieć się czegoś więcej o otaczających nas górach. Piszący te słowa przygotował prelekcję ukazującą czeską stronę Karkonoszy, dawniej prawie nie odwiedzaną. Obecnie, po zniesieniu granic, będące na wyciągnięcie ręki, tereny te coraz częściej są brane pod rozwagę podczas planowania wycieczek. Aby pokazać ciekawostki ze szlaku wybrałem się dwukrotnie w góry. Niestety oba moje wyjścia okazały się nieudanymi gdyż za każdym razem zaskoczyła mnie zamieć śnieżna i gęsta mgła. Jednak przedstawione przeze mnie zdjęcia ukazujące Karkonosze w takich warunkach pozwoliły na pokazanie jak szybko zmienia się tutaj pogoda. Wywarły one duże wrażenie na naszych gościach. Niektórzy nawet podchodzili po prelekcji by wyrazić swoje zaskoczenie faktem, że w ciągu zaledwie kilku minut śnieżyca może ustąpić miejsca pięknej słonecznej pogodzie.

Ponieważ tak się złożyło, że byłem na Zlocie w Kołobrzegu, pomyślałem sobie, że będzie miło gdy pokażę zdjęcia tam zrobione. Zaprezentowałem przygotowaną prelekcję i okazało się, iż wiele z obecnych tu osób rozpoznało siebie na zdjęciach. Wygląda na to, że sprawiłem im swoim wystąpieniem przyjemność.



**Zespół "Szyszak"**

Teraz poproszono zespół folkowy "Szyszak", którego członkowie sami komponują oraz piszą teksty ale także sięgają do znanych starych utworów. Niektóre z nich znaleźli w szafach, czy na strychach starych chałup. Większość członków zespołu pochodzi z okolic Zachełmia a więc wiedzą oni doskonale o czym śpiewają. Teksty ich piosenek opiewają piękno Karkonoszy, gór w których żyjemy. Ci którzy byli już na ich występie będą wiedzieć o czym mówię. Ci którzy usłyszą ich po raz pierwszy na pewno nie zawiodą się i także wpadną w zachwyt nad tym co można przeżyć w górach. Zresztą jutro ponownie zobaczą na własne oczy to o czym dzisiaj będą słuchać. Członkowie zespołu noszą białe koszule zachełmiańskie bogato zdobione haftem o motywie roślinnym. Ponieważ jedyna pani w

zespole jest przy nadziei wygląda na to, że gdy urodzi się córeczka (wiadomość sprawdzona) to będzie ona bardzo muzykalna.

Na dobry początek usłyszeliśmy pieśń o Szyszaku, później o Karkonoszach, o dziwnym tytule "Na rozstaju" czy "Dolny Śląsk". I wreszcie o Kunegundzie z zamku Chojnik. Zaśpiewali oni także pieśń o wietrze napisaną jako wspomnienie dla kolegów, którzy zapoczątkowali ich wspólne wejścia w sylwestrowy wieczór, właśnie na Szyszak, a którzy nie wrócili z wyprawy górskiej.

Patrząc na twarze słuchających widać było wielkie zainteresowanie występem. Ale wydawało mi się, iż publiczność była nieco zaskoczona tematyką piosenek. Nie spodziewali się oni bowiem, że teksty będą traktowały o pięknie Karkonoszy. Nawet diabeł z Łęczycy (Kol. Jacek w stroju służbowym) oparł się o filar i wsłuchiwał z rozmarzonym licem. Wyglądał on w tym momencie jak uosobienie dobra a nie zły czart. Kto wie, jak wróci do domu z takim nastawieniem, czy mieszkańcy Łęczycy będą go jeszcze chcieli przyjąć z powrotem.

Dziękując muzykom z zespołu "Szyszak" za ich występ podkreślamy, że w tekstach ich piosenek chwalone jest piękno naszych Karkonoszy, że są to piosenki, w których czujemy miłość do Karkonoszy. Bo o Karkonoszach nie da się mówić inaczej jak z podziwem. Ogłaszamy, że zespół posiada płytę ze słyszonymi przed chwilą piosenkami i wkrótce ustawia się kolejka chętnych do jej zakupu. Mało tego wszyscy, którzy nabyli płytę wyrazili swoją chęć posiadania autografów muzyków. Ci byli mile zaskoczeni, nie przewidzieli bowiem takiego zainteresowania swoją twórczością.

Aby schłodzić atmosferę i wprowadzić poważny nastrój nasz kolega, Tomek Łuszczyński, rozpoczął wykład z historii ziółarstwa w Karkonoszach. Opowiedział on o działalności laborantów i przedstawił całą gamę likierów produkowanych na bazie ziół zbieranych w górach. Mogliśmy skosztować najnowszego wyrobu czyli Likieru Karkonoskiego, którego recepturę opracował właśnie Tomek. Jest on także producentem tego trunku. Aby sprawdzić jak różnią się poszczególne likiery skosztowaliśmy także bardziej znany Likier Stanisławski. Jest on znany od 200. lat, jednak nie wiem czy aby na pewno można tu mówić w dalszym ciągu o oryginalności tego produktu gdyż produkowany jest on obecnie z dala od Karkonoszy. Myślę jednak, że nasze rozważania są tu najmniej istotne. Najważniejsze jest iż oba likiery są marką rozpoznawalną i kojarzoną z Karkonoszami.

Degustacja likierów wpłynęła na poprawę nastrojów i nic nie mogło już powstrzymać uczestników Zlotu, którzy po wysłuchaniu drugiej części występu zespołu Szyszak ruszyli w tany. Na parkiecie pojawiło się nawet ścisłe szefostwo. My organizatorzy uznaliśmy to za dobry znak i nie przeszkadzaliśmy diabłu z Łęczycy bawić się w wolontariat. Dopadł on wolną tancą i zaczął znosić razem z paniami z obsługi brudne naczynia do kuchni. Mało brakowało a wzięłyby się za ich zmywanie. Później okazało się, że w ten sposób wkradł się on w łaski pań, które pozwoliły mu wejść do pomieszczenia technicznego. Gdy w jego rękach znalazło się centrum nagłośnienia przemienił się w rasowego didżeja i od tej pory puszczał nam same ładne przeboje. Niektóre nawet z dedykacjami.

Rano, mimo zabawy do białego rana, wszyscy byli na nogach. Rażni i wypoczęci. Ba nawet gotowi do wyruszenia na wycieczkę. Część grupy pojechała z Wiktorem Gumprechtem na mini objazd Kotliny Jeleniogórskiej, a część wyruszyła na spacer krajoznawczy po Karpaczu poprowadzony przez autora tych słów.

Muszę tutaj powiedzieć, bo pewnie nie wszyscy to wiedzą, "Leśny zamek" w którym nocowaliśmy ma swoją oryginalną historię. Otóż w czasach, gdy obiekt ten upodobał sobie wojskowi, przebywał tu oficer pruski o imieniu Helmut i jego żona Luiza. Helmut bardziej przedkładał zakrapiane imprezy niż wspólne przebywanie z żoną. Gdy ta zeszła kiedyś do restauracji i zobaczyła jak zabawia się jej małżonek nie wytrzymała tego. Zamiast po prostu zastrzelić męża pobiegła do swojego pokoju na szczycie wieży i rzuciła się z okna ponosząc śmierć na miejscu. Po jakimś czasie inne małżeństwo podejmując ostatnią próbę ratowania swojego związku wynajmuje ów pokój i okazuje się wówczas, że pobyt w nim poprawia ich wzajemne relacje na tyle, że nie myślą już o rozstaniu. Od tej pory wszystkie pary, w których wypaliła się miłość przyjeżdżały tutaj szukać ostatniego ratunku. Niestety dzisiaj pokój ten zabity jest deskami i nie można skorzystać z daru jaki daje przebywanie w nim. Faktem jest jednak, że można spotkać tu ducha kobiety wzywającej Helmuta. To rozżalona Luiza szuka swojego męża. Ale jej ducha może zobaczyć tylko "chwiejny"

żonaty mężczyzna. Więc jeśli masz żonę i nie spotkałeś ducha Luizy możesz się tylko cieszyć. Oznacza to, że twoje małżeństwo jest niezagrożone.

Podczas spaceru po Karpaczu dotarliśmy do miejsca zaburzenia grawitacji. Czasami wydaje się, iż samochody z wyłączonym silnikiem toczą się tu pod górę. W korycie płynącej tędy rzeki Łomnica podziwialiśmy basen eworsyjny i marmit zwany także kociołkiem eworsyjnym czyli kolistą dziurę wyżłobioną w skale przez wirujące kamienie. Ten tutaj jest największym w całych Sudetach. Zobaczyliśmy Dzikiego Wodospad, starą kolej krzeslekową (MKL) na Kopę o przepustowości 600 osób na godzinę i nową kanapę o przepustowości 1800 osób. Przeszliśmy Ścianę Płaczu. Nazwę tę wymyślili kolarze biorący udział w wyścigu Tour de Pologne, którego metę umieszczono na końcu tego stromego podjazdu. Zobaczyliśmy Orlinek wykorzystywany po wojnie jako miejsce opieki dla sierot wojennych, powstańców warszawskich i partyzantów. Organizatorem tego obiektu był Wojciech Tabaka, pierwszy starosta jeleniogórski, a także prezes "jedynie słuszny" Dolnośląskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Zaraz obok znajduje się skocznia narciarska Orlinek im. Stanisława Marusarza, który oddał na niej pierwszy skok 1 stycznia 1947 roku. Nowa skocznia ma punkt krytyczny K-85 i posiada homologację FIS. Rekord skoczni wynoszący 94,5 m należy do Adama Małysza. Obecnie skocznia opiekuje się firma Quasar prowadząca Ośrodek Sportów Ekstremalnych. Jest tutaj ścianka wspinaczkowa, tyrolka, zjazd na linach, wiszące mosty, wahadło i skoki na bungie. Mijając restaurację "U Ducha Gór", którego załoga bierze udział w jeleniogórskiej Lidze Futsalu, docieramy do całorocznego Lodowiska Syntetycznego. Opiekujący się nim pan pomaga uzyskać chętnym rozwód. Wystarczy przyjść tu z żoną i poprosić ją o wejście na lodowisko. Ta zapewne odmówi. Wtedy możemy powiedzieć, że zostawiła nas na lodzie. A wspomniany pan będzie świadkiem w sądzie.

Najpiękniejszym zwiedzonym obiektem była Apteka pod Złotą Wagą, dawniej Prinzess Charlotte Apotheke. Zachowało się w niej oryginalne wyposażenie, narzędzia, witraże i gazowa instalacja świetlna. Na budynku zamontowano tablicę upamiętniającą Augusta Zoelfela, ostatniego karkonoskiego laboranta. Willa obok należała do Elsy Ury, autorki 39. powieści dla dzieci. Ze względu na jej żydowskie pochodzenie oraz nieodpowiednie stanowisko do ówczesnej sytuacji wykluczono ją z Izby Pisarzy Rzeszy i wysłano do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu gdzie została zgładzona zaraz po przybyciu 13 stycznia 1943 roku.

Ostatnimi ciekawostkami jakie zobaczyliśmy był nowo otwarty park współfinansowany ze środków unijnych. Można tam zrobić sobie ładne zdjęcie z wielkim, wykonanym z granitu, Karkonoszem. Dla niekumatych zaznaczono jak należy stawiać nogi aby przyjąć odpowiednią pozę. Po przejściu przez zaporę na Łomnicy mogliśmy odpocząć w restauracji. Musieliśmy jednak długo szukać wolnego miejsca. Warto jednak było usiąść gdyż niebawem zobaczyliśmy na niebie trzech lotniarzy, którzy wykonywali ciekawe, choć nieraz bardzo niebezpieczne, akrobacje.

Podczas spotkania kończącego Złoty Ryszard Kunce poinformował wszystkich, że na piątkowym zebraniu Komisji Środowiskowej podjęto decyzję o terminie przyszłorocznego IX Ogólnopolskiego Złotu Młodzieży Wiejskiej PTTK. Odbędzie się on 17-19 maja 2013 roku w Wieruszowie. Podziękował także organizatorom obecnej imprezy wręczając na ręce Komandora Andrzeja Mateusiaka dyplomy: dla Oddziału "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze i imiennie dla niego. Poprosił także o nadsyłanie uwag i wniosków z przeprowadzanych tutaj dyskusji i przyznał, że jest pod wrażeniem tego co zobaczył tutaj w Karkonoszach.

Wydawca:  
Komisja Krajoznawcza Oddziału „Sudety Zachodnie”  
Jelenia Góra – październik 2012  
Tekst i foto: Krzysztof Tęcza